Czasopismo Społeczności Lokalnej
Gminy Mirsk i okolic

Izery

Wyd. grudzień 2008, nr 4 Cena: 1 zł Nakład: 500 egz. ISSN: 1899-8313

Wesołych Świąt !!!

W grudniowym numerze:

Konkurs fotograficzny „Izerska Róża" już roztrzygnięty
Wspomnienia z Boliwii
Z Boliwii do Mirska
Społecznie za pieniądze - ciąg dalszy
Zgodnie z prawdą
Nowe drogi w naszej okolicy
Gdzie strumyk płynie z wolna
Udo Wegner
Jak to w Mirsku z kolejami bywało - ciąg dalszy
Widmo powstania kolejnej kopalni nadal krąży
Ludzie ludziom zgotowali ten los
Romania - dragostea mea
Krzyżówka świąteczna
Kartka z historii Kwieciszowic
Kabelek Izerski

Czasopismo wydawane przez Stowarzyszenie Promocji i Rozwoju
Pogórza i Gór Izerskich "Zakwisie"

Konkurs fotograficzny „Izerska Róża” już rozstrzygnięty

Z początkiem grudnia miało miejsce ważne na naszej mapie kulturalnej wydarzenie.

W świetlicy(chciałoby się rzec Domu Izerskim) w Rębiszowie spotkało się grono osób, przed którym stanęło trudne zadanie: wyłonienie najlepszych fotografii w konkursie „Skarby Izerów” organizowanym corocznie przez Stowarzyszenie Promocji Rozwoju Pogórza i gór Izerskich „Zakwisie”. Konkurs objęty został patronatem burmistrzów Mirska i Świeradowa Zdroju. Głównym celem, który przyświecał organizatorom było pokazanie interesujących miejsc i zakątków Gór Izerskich i Pogórza Izerskiego, oczywiście po przepuszczeniu przez indywidualny filtr artystycznej wrażliwości uczestników. Konkurs przeznaczony był dla wszystkich fotografujących, a uczestnictwo w nim bezpłatne. Tematem prac mogły być obiekty architektoniczne dawne i współczesne, kapliczki, krzyże przydrożne, pałace, cmentarze jak również pejzaże oraz obiekty przyrodnicze i inne typowe dla tego regionu. Szacowne jury miało nie lada problem. Należało wybrać najciekawsze pod względem artystycznym prace i przyznać miejsca w określonych kategoriach. A z tym jak zawsze był problem… Poziom nadesłanych prac był wysoki i trudno było dokonać wyboru . Jednak po burzliwych naradach jury ogłosiło werdykt.

Nagroda główna-tryptyk „Wędkarze”

Nagroda główna-tryptyk „Wędkarze”

Pierwsze miejsce w kategorii architektura- „Ostatni pasażer”

Nagroda główna-tryptyk „Wędkarze”

Pierwsze miejsce w kategorii krajobraz- „Drzewo”

Pierwsze miejsce w kategorii przyroda- „Wodospad”

Pierwsze miejsce w kategorii inne- „Ozdoby”

Najlepszą pracę w kategorii „Ludzie” nadesłała Ilona Cichoń. Jej tryptyk „Wędkarze” został najwyżej oceniony i otrzymał Grand Prix.

Pozostałe osoby zajęły pierwsze miejsca w poszczególnych kategoriach:

„Architektura”- Paweł Jakubowski

„Przyroda”- Paweł Jakubowski

„Krajobraz”- Piotr Rubaj

„Inne”- Ryszard Literacki

Gratulujemy laureatom i zachęcamy wszystkich do wzięcia udziału w przyszłorocznej edycji konkursu. Informacje na ten temat można znaleźć na stronie: www.zakwisie.pl.

Beata Nowicka

Wspomnienia z Boliwii

Boliwia jest pięknym krajem, ,ale niewątpliwie, tak jak mówią, krajem trzeciego świata. Boliwijczycy ze swoją gorącą krwią są ludźmi otwartymi i cenią sobie otwartość ze strony księdza, nawet jeśli nie zna on do końca ich języka i sloganów, ich kultury.

Ks. Mariusz Godek w czasie spotkania z młodzieżą boliwijską

Moje święta Bożego Narodzenia - pierwszy raz z dala od Polski, od swojej rodziny. Trochę inne jak się bierze pod uwagę panujące właśnie lato (jakieś 35 stopni C i duża wilgotność powietrza). Klimat tropikalny. Wieczna zieleń. Jestem w pierwszym co do wielkości mieście Santa Cruz, co oznacza Święty Krzyż. Ludzie tutaj nie boją się demonstrowania swojej wiary. Na mikrobusach i samochodach widnieją napisy „Jezus Cię kocha", na szyi młodzież i dzieci noszą różańce. Tylko w kilku miejscach jest oświetlenie typowo świąteczne. Oni są zbyt biedni, żeby dekorować swoje domy światełkami. Mszę - pasterkę przeżywałem już o 19.30. Na początku wchodzi młodzież przebrana za Józefa i Maryję z Dzieciątkiem – oznajmiają, że Jezus już się narodził i stają przed ołtarzem. Wszyscy klaszczą i wesoło śpiewają. Później wielokrotnie podczas Mszy świętej, dzieci, bo jest to prawdziwy Dzień Dziecka, machają białymi chusteczkami i klaszczą. Przynoszą na Mszę swoje dzieciątka Jezus do poświęcenia. Zabierają je później do domu, gdzie bawią się całą noc. Bogatsi jedzą indyka, biedniejsi kurczaka, a całkiem biedni ryż i jukę, odmianę ziemniaka. O 12 w nocy puszczają petardy i sztuczne ognie na znak radości z przyjścia Jezusa. To tak jak u nas w sylwestra. Jak na pierwszy raz to brakowało mi tych polskich kolęd, tego *Wśród nocnej ciszy*, polskich potraw wigilijnych. Pierwszy i jedyny tutaj dzień Bożego Narodzenia spędzałem w towarzystwie trzech biskupów i sióstr Boliwijek.

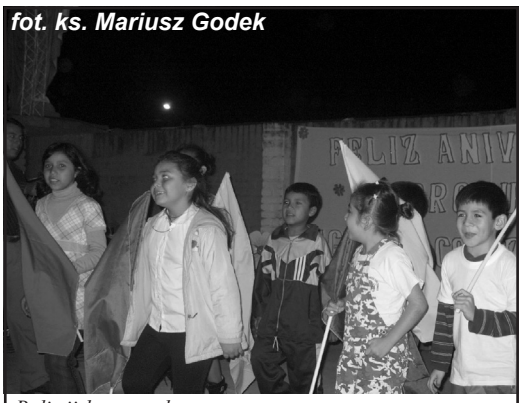

Boliwijska pasterka

Jak jest w Boliwii? Gorąco i w dużej części brudno. Tylko w centrum wielkiego miasta są sklepy przypominające te w Polsce. Reszta - sklepy, bary inne punkty usługowe, jak np. fryzjerzy - mieści się (dla porównania) w garażach. Brak jest kanalizacji. Tylko wzdłuż głównych ulic są pobudowane jakieś kanały. Lato, które jest uważane za porę deszczową (każdego dnia wtedy pada), zamienia to miasto w istne bajoro. Tylko główne drogi są wyasfaltowane lub wybetonowane. Tutaj w parafii, w której jestem księdzem, a która ma 27 000 mieszkańców, wszystkie boczne ulice to piach i wielkie kałuże z błotem. Jeśli pamiętamy, że nie ma kanalizacji, śmietników - to wszystko spływa do tych kałuż, także i odchody zwierząt. Smród jest wtedy ogromny. Można i trzeba do tego się przyzwyczaić. Wszędobylski piasek znowu w słoneczne dni wdziera się wszędzie. W mieszkaniu, w powietrzu jest go bardzo dużo; w efekcie także w oczach, w ustach. Ludzie mieszkają tutaj tak jak potrafią. Są i bogatsi mieszkający w kilku apartamentowcach lub niedużych wolno stojących domach. Jest cała masa mieszkających na obrzeżach miasta, także i parafii, którzy żyją w 2 pomieszczeniach w 8 osób, na ulicy lub w kanałach, o których pisałem.

Osiedle ubogich mieszkańców Santa Cruz

Opowiem o wizycie, którą złożyłem choremu. Ubrałem sandałki z plastyku, bo lepiej jest razem umyć nogi i buty, gdy trzeba wejść w błoto, gdyż innej drogi nie ma. Byłem w towarzystwie świeckiego szafarza, który co niedzielę zanosi im komunię, i młodej osoby, przygotowującej się do bierzmowania. Wszedłem do mieszkania 60 letniego Pastora - tak miał na imię ten mężczyzna. W tym czymś, co nazwałem domem, 2 na 3 metry, ledwo się zmieściliśmy. Przybudówka do muru z jakiejś blachy i kartonu. Dach przeciekał. Na ziemi stało łóżko oraz niewielki stolik i krzesło. Na stoliku wiaderko po farbach z wodą do picia, jedna wyschnięta bułka, na ziemi drugie wiaderko na odchody… Śmierdziało bardzo. Chory skarżył się na swoje życie. Powiedziałem, że Jezus go kocha właśnie za takie życie. Nie mogłem normalnie się modlić. Miałem cały czas łzy w oczach. Myślałem - dlaczego nie przyjechałem tutaj wcześniej? I Jezus codziennie rodzi się dla takich jak on. Przyjął komunię świętą i powiedział, że kocha Jezusa. Wierzcie mi, 11 lat pracowałem w Polsce, ale nie widziałem człowieka w takim stanie. Koczujący i mieszkający na ulicach są tutaj normalnością. Nikomu nie życzę takiej egzystencji. Komary, karaluchy to rzecz powszednia. Kilka pryszniców w ciągu dnia to też tutaj normalność dla tych, którzy mają wodę. Ostatnio pytałem ministranta, co jadł na kolację. Mówi: „ Bułkę (bo tutaj chleba nie maja) i herbatę". „ Bułkę bez niczego?". „Tak, ojcze" - powiedział. „I to jest wystarczające?". „Tak ojcze". Chyba nie wiem, co zrobić, żeby zaradzić takiej sytuacji. Chorzy nie dostają tutaj żadnej pomocy; jak pomyślę, że takich chorych jak Pastor są tysiące w parafii… Leczenie jest tutaj bardzo drogie, kosztuje setki dolarów. Ich nie stać na to. Setki tysięcy z nich nie zarabia 100$ miesięcznie. Ostatnio odprawiałem Mszę w kilku dzielnicach po domach, bo nawet nie ma kaplic. Do jednego jechałem mikrobusem. Droga gdzieś się kończyła, dalej szedłem piechotą kilkaset metrów po trawie. Zwierzęta, ludzie i ta wieczna zieleń. Czekali na mnie i się cieszyli, że przyszedłem do nich. Mówili, że dla mnie będą się uczyć polskiego. Inny świat…".

Ks. Mariusz Godek

Z Boliwii do Mirska

Z Boliwii do Mirska w dniu 24.11.2008 przybył niezwykły gość. Na zaproszenie nauczycieli ZSL-G przybył do naszej placówki ks. Mariusz Godek, którego wielu z nas pamięta jeszcze jako wikariusza parafii Zwiastowania NMP w Mirsku.

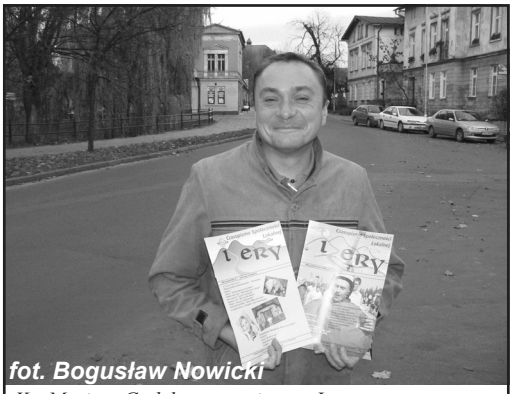

Ks. Mariusz Godek z czasopismem Izery

Od roku ksiądz Mariusz przebywa jako misjonarz katolicki w Santa Cruz w Boliwii i udziela duchowej posługi w parafii liczącej 27 tys. osób. Jego wierni zwracają się do niego „Padre" (ojcze), często jest też dla nich jak ojciec – głowa rodziny. Większość wspólnoty to miejscowe plemiona indiańskie, których członkowie żyją w wielkim ubóstwie. Ksiądz Mariusz pomaga im nie tylko duchowo, ale też materialnie np. ofiarując żywność, sprzęty domowe, odzież itp. Pedagodzy naszej szkoły zaprosili księdza do wygłoszenia prelekcji ubarwionej pokazem slajdów, na których uwieńczono boliwijskie krajobrazy, ulice Santa Cruz i codzienne życie Indian. Prelekcja była swoistą lekcja geografii – misjonarz opowiadał o tamtejszym klimacie, życiu ludzi na wysokości nawet 4000 m npm. Uczniowie mieli także okazję obejrzeć i dotknąć wyroby rękodzielnicze boliwijskich Indian (m.in. rzeźbione w drewnie indiańskie twarze, a także zrobioną specjalnie dla księdza Mariusza piękną wielobarwną stułę z lamiej wełny). Młodzież powitała księdza dość nietypowo - utworem z repertuaru zespołu *Dżem* zagranym przez grupę *Whisky Dżem Band*. Zespół uświetniał swoją muzyką prelekcję, a po niej dał charytatywny koncert. Fundusze ofiarowane przez młodzież zostały przekazane na leczenie ciężko chorego członka społeczności wiernych, prowadzonej przez ks. Mariusza. Myślę, że zaproszenie ks. Mariusza było miłym gestem i przyniosło obopólne korzyści. Nasi uczniowie, a także my nauczyciele dowiedzieliśmy się wielu ciekawychrzeczy od człowieka, który ma żywy kontakt z ludźmi i kulturą Boliwii, a przy tym mieliśmy okazję wspomóc chorego człowieka – naszego bliźniego z dalekiego kraju.

Rękodzieła wykonane przez indian boliwijskich: drewniane płaskorzeźby i stuła z wełny lamy

Zespół „Whisky Dżem Band" w czasie koncertu charytatywnego w mirskim ZSL-G

Iza Łupicka

Społecznie za pieniądze - ciąg dalszy

Nie mogę nie odnieść się do riposty Przewodniczącej Rady Miejskiej Gminy Mirsk, Pani Danuty Ławnikowskiej, zamieszczonej w numerze 3 naszego pisma. Odnosi się ona do mojego artykułu pt. Społecznie za pieniądze, zamieszczonego w numerze 2.

Tym powodem natury oczywistej jest drobne kłamstwo, z którego wynika, że to ja, razem z Panią Przewodniczącą broniłem niepopularnej decyzji Rady, zaatakowanej przez *Słowo Polskie i Gazetę Wrocławską*. Kłamstwo polega na tym, że ja jako jeden z nielicznych członków Rady byłem przeciwny tym zmianom, a Pani Przewodnicząca mogła to bardzo łatwo sprawdzić w protokołach z dyskusji i głosowania nad zmianą uchwały o dietach. Pani redaktor Wilk tylko poprzez zamieszczenie mojego zdjęcia we wspomnianym, krytycznym artykule, wmanipulowała mnie w decyzje i poglądy, które były mi obce i wobec których głośno protestowałem na forum Rady. Pani Ławnikowska zaś, zamiast spróbować podyskutować na ważny społecznie temat, uciekła się do oczywistego kłamstwa, byle tylko zdyskredytować przeciwnika - kopać tego, który głosi inne poglądy. Chciałem ponadto zauważyć, że przedstawione w artykule *Społecznie za pieniądze* moje poglądy na temat diet nie są koniunkturalne, bo jak słusznie zauważa Pani Ławnikowska "wybory dopiero za dwa lata".

Pani Przewodnicząca Rady Danuta Ławnikowska, powołując się na Ustawę o Samorządzie Gminnym z 8 marca 1990 r., sugeruje czytelnikom, że wszystko w sprawach diet jest w porządku, a to nieprawda. Gdyby radni (i to nie tylko z naszej gminy) mieli diety w wysokości np. o połowę niższe, to też byłoby to zgodne z prawem. Pragnę się również publicznie nie zgodzić z argumentacją, którą często słyszę, że niższe diety paraliżowałyby pracę Rad, bo trudno będzie zebrać kworum. W moim przekonaniu jest na to tylko jedna rada - wybieranie ludzi, którzy znani są w środowisku z inicjatywy i zaangażowania, a nie tylko tych, którzy nagle przed wyborami próbują zaistnieć. W tej sytuacji powiem jeszcze raz: podtrzymuję swoją tezę, że dieta powinna być stanowić rekompensatę utraconych dochodów z tytułu pracy społecznej, a już na pewno powinna być adekwatna do włożonej w bycie radnym pracy. I w tym miejscu chciałbym złożyć panu Burmistrzowi i Radzie gratulacje, że potrafią tak organizować pracę Urzędu, że w rankingach dotyczących kosztów utrzymania administracji gminnej plasujemy się wysoko w regionie i w kraju. Radnym i Czytelnikom poddaję pod rozwagę jeden fakt. Jeżeli pracownicy Urzędu wykonują swoja pracę przez cały miesiąc, za określone wynagrodzenie, to jak porównać nakłady pracy i wysokość uposażeń Radnych?

Stanisław Wojciechowski

Zgodnie z prawdą

Czytając artykuł w listopadowych Izerach, poczułem się wywołany do odpowiedzi przez Panią Przewodniczącą Rady Miejskiej Gminy Mirsk, której uwaga i czujne oko raczyły spocząć na mojej osobie. Grubym kijem krytyki okładała zarówno mnie jak i Stanisława Wojciechowskiego - autora artykułu *Społecznie za pieniądze*, serwując czytelnikom niby-informacje, które opierają się na z gruntu fałszywych przesłankach. Przewodnicząca Danuta Ławnikowska manipuluje faktami oraz stosuje niedopowiedzenia, przedstawiając jednocześnie siebie i radnych zabiegających o podwyższenie diet jako szlachetne osoby, działające tylko „zgodnie z ustawą".

Zanim odniosę się do decyzji radnych tej kadencji o podwyższeniu sobie diety, wyjaśnię kwestię poruszoną „łaskawie" przez Panią Przewodniczącą. Aby wyjaśnić ją uczciwie, musimy cofnąć się do uregulowań powziętych przez Radę sprawującą władzę samorządową w latach 1998-2002. W tymże to okresie pojawił się problem z radnymi, którzy bardzo rzadko albo wcale nie uczestniczyli w pracach rady, ale pobierali diety tej samej wysokości jak ich aktywni społecznie koledzy. Postanowiono temu zaradzić. Zastosowano kary finansowe, polegające na odebraniu części diety za nieobecność na sesji lub komisji. Radny, który nie uczestniczył w tych pracach, nie otrzymywał diety. Rozwiązanie wydaje się być sprawiedliwe. Tylko, jak każdy, tak i ten kij posiadał dwa końce. Radni spotykają się według przyjętych planów pracy komisji i sesji najczęściej dwa, trzy, góra cztery(bardzo rzadko) razy w miesiącu. I tu dochodzę do sedna sprawy. W poprzedniej radzie, kadencji 2002-2006 znaleźli się tacy, którzy w komisjach pracowali wielokrotnie więcej, spotykając się dwa i trzy razy w tygodniu, dzieląc się jeszcze na zespoły, aby zwiększyć intensywność pracy. Niestety mechanizm karania za nieobecność na komisji działał na ich niekorzyść. Dotyczyło to, przede wszystkim, członków komisji rewizyjnej, którą zaszczyt miałem kierować. Radni ci w ciągu 4 lat przeprowadzili kilkanaście kontroli, często o bardzo szerokim zakresie, które wymagały ogromnego wkładu pracy i czasu. Mimo że ludzie ci pracowali statystycznie więcej i częściej, to i tak bardziej byli narażeni na kary finansowe, które zostały wymyślone nie na nich, ale na tych leniwych radnych, o których wspomniałem wyżej. Jak to rozumieć? Już wyjaśniam. Porównajmy dla przykładu dwóch radnych:

Pierwszy - bierze udział jeden raz w miesiącu w komisji i jeden raz w sesji, zgodnie z planem pracy.

Drugi - uczestniczy np. osiem razy w wielogodzinnych pracach komisji i jeden raz w sesji.

Za każdą nieobecność, nawet spowodowaną chorobą, jest nakładana kara. Ten bardziej aktywny radny ma statystycznie ponad cztery razy większe szanse, aby zapłacić karę w przypadku jakiejś choroby, co przez 4 lata jest wielce prawdopodobne. Moją intencją było, aby radni pracujący intensywniej nie byli narażeni na karę, która miała uderzać, według pomysłodawców z lat 1998-2002, w leni i kombinatorów.

Podobne rozwiązania wprowadzono wobec posłów, którzy swoją nieobecność na obradach sejmu muszą usprawiedliwiać. W przypadku poświadczenia nieprawdy mogą trafić przed komisję dyscyplinarną. Byliśmy świadkami takiego zachowania nagłośnionego niedawno w mediach.

W sprawie wysokości diet prawda jest taka, że w tej kadencji rady dwukrotnie zgłaszałem projekty uchwał, w których proponowałem pozostawienie ich w takiej samej wysokości jak poprzednio (moim zdaniem i tak za wysokich). Liczyłem na zrozumienie, a spotkałem się z ostrym, naładowanym złością atakiem Pani Przewodniczącej oraz grupy jej popleczników. Nie usłyszałem żadnego argumentu, który uzasadniałby podwyżkę. Usiłowano utrącić mój projekt uchwały, ponieważ nie został zgłoszony w określonym terminie przed sesją. Oczywiście inne projekty uchwał mogą trafiać na stół tuż przed obradami i wtedy wszystko jest w porządku. W czasie dyskusji zarzucano mi nawet, że używam słowa podwyżka, a przecież to jest to tylko „ustalenie wysokości" diet dla radnych nowej kadencji. Mój pomysł poparła w milczeniu nieliczna grupka radnych, zażenowanych intensywnością ataku. W takiej atmosferze wprowadzono podwyżki diet radnych, przewodniczącej oraz uposażenia burmistrza.

Wspomnę jeszcze o tzw.„ wysokim poziomie niezadowolenia społecznego", spowodowanego moją propozycją, a wyrażonego artykułem prasowym w 2006 roku. Sądzę, że zainteresowanie dziennikarzy odpornych na jakiekolwiek argumenty zostało sztucznie wywołane przez osoby, którym dociekliwa praca komisji rewizyjnej była bardzo niewygodna. Trzeba było uderzyć w jej członków, najlepiej cudzymi rękoma.

Odniosę się również do sugestii Pani Przewodniczącej, w której obarcza mnie winą za to, że akcja fundowania stypendiów z diet radnych dla uczniów gimnazjum nie jest kontynuowana. Uważam to za wierutną bzdurę. Byłem pomysłodawcą tego projektu a także ułożyłem regulamin przyznawania stypendiów, sporządziłem druki wniosków, system punktacji oraz pilotowałem ten program przez 4 lata. Najistotniejsze zapisy regulaminu mam po prostu w głowie i w każdej chwili mogę je z pamięci odtworzyć. Musi Pani przyznać, że od dwóch lat, mimo wielu okazji w czasie oficjalnych i nieoficjalnych spotkań radnych, nie zostałem poproszony o przedstawienie informacji o stypendiach. Odczuwało się raczej brak zainteresowania radnych tym pomysłem. I to jest prawdziwy powód tego stanu rzeczy. Ponadto sprawa ta była dwukrotnie poruszana w czasie obrad komisji oświaty. Nie spotkała się z pozytywnym oddźwiękiem. Rozumiem, że wielu radnych angażuje się finansowo w różne formy pomocy. Chwała im za to. Decyzja na pewno nie wynika z braku informacji na temat stypendiów, ale z ich własnego wyboru.

Na zakończenie powiem tak: radni kadencji 2002-2006, (chyba bez głosu sprzeciwu) postanowili nie podnosić sobie diet, a oprócz tego ufundowali stypendia. To wspólne działanie miało wydźwięk symboliczny. Teraz stało się odwrotnie.

O ile sobie dobrze przypominam, ówczesna radna Danuta Ławnikowska była na początku 2002 roku przeciwna podwyżkom diet, a po czterech latach, już jako Przewodnicząca Rady zmieniła zdanie i była za podwyżkami. Powiedzenie: „punkt widzenia zależy od punktu siedzenia - wydaje się być bardzo adekwatne do zaistniałej sytuacji. Przedstawiona w 3 numerze Izerów tabelka, w której porównuje się diety radnych z różnych gmin, może udawać tylko listek figowy z napisem:„ Proszę bardzo jacy jesteśmy wspaniałomyślni, mogliśmy przyznać sobie jeszcze wyższe diety, a nie zrobiliśmy tego".

Ja swojego zdania nie zmieniłem, nadal jestem przeciwny podwyżkom, czego dałem dwukrotnie dowód, proponując stosowne projekty uchwał.

Bogusław Nowicki

Nowe drogi w naszej okolicy

Grudza-Nowa Kamienica

W bardzo wietrznym dniu, 20 listopada br. o godz. 10.00, nastąpiło oficjalne otwarcie drogi łączącej Powiat Jeleniogórski z Powiatem Lwóweckim, a konkretnie Grudzę z Nową Kamienicą . W uroczystości wzięły udział władze tych powiatów, gmin i sąsiadujących ze sobą miejscowości. Patronował temu wydarzeniu wicemarszałek województwa dolnośląskiego- Tadeusz Drab. Inicjatywa budowy drogi, w dużej części wykonanej w czynie społecznym, należała do radnego Powiatu Lwóweckiego- Zenona Zatchieja. Mieszkańcy okolicznych miejscowości mogą cieszyć się z nowego połączenia, które znacznie skraca drogę w kierunku Starej Kamienicy.

Uroczyste przecięcie wstęgi przez wicemarszałka województwa dolnośląskiego

Krobica-Kotlina

Mamy również nową drogę łączącą wyżej wymienione miejscowości. Droga przed remontem była w fatalnym stanie i praktycznie odcinała Kotlinę od świata. Została wybudowana ze środków Lasów Państwowych, Powiatu Lwóweckiego oraz Gminy Mirsk. Zamieszkuje tu niewiele osób, ale liczymy na to, że pojawienie się turystów zaowocuje nowymi pomysłami, które ożywią gospodarczo tę cichą, ale jakże piękną miejscowość.

Obie drogi to kolejne na mapie Gór Izerskich trasy rowerowe podnoszące atrakcyjność turystyczną regionu.

Wicemarszałek T. Drab i radny Z. Zatchiej na spotkaniu w Starej Kamienicy

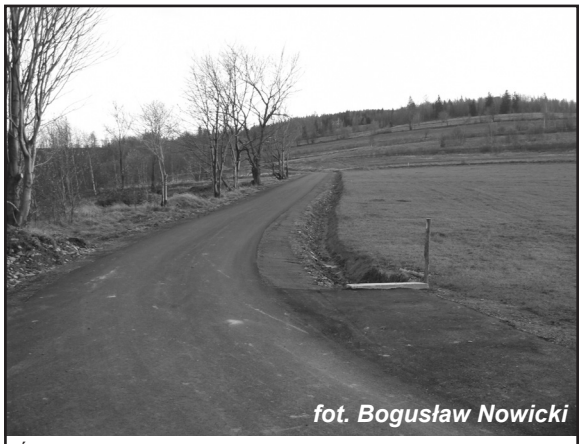

Świeżo wyasfaltowana droga w Kotlinie

REDAKCJA

Gdzie strumyk płynie z wolna

W kapitalizmie wszystko do kogoś należy. Im więcej dóbr w prywatnych rękach, tym mniej państwo może się wtrącać i „psuć" gospodarkę. Im więcej w „rękach" państwa, tym więcej socjalizmu. Tak uczą w szkołach. I nie tylko. Ale na mapie naszej gminy istnieje takie miejsce, które nie należy do nikogo…

Owszem leży w Polsce, więc do Polski należy, ale nikt się do niego nie przyznaje, pewnie dlatego, że trzeba przy nim popracować, by nie przynosiło szkód. Mowa o Krobickim Potoku. Małym, cieku wodnym wypływającym w lasach i spokojnie płynącym przez Krobicę i tam też wpływającym do Kwisy. Często w nim brak wody w czasie dużych upałów i dlatego wydaje się całkiem niegroźny. Do czasu! Do czasu, aż solidnie popada. Ci, którzy pamiętają (a przecież pamiętamy) Wielką Powódź, nie zapomną, ile szkód w gminie narobiły małe potoki. Krobicki Potok nie był lepszy – też spowodował duże szkody, zalewając kilka domostw we wsi.

Mieszkańcy, ci najbardziej zagrożeni, wystosowali pismo do gminy i … nic. Potok okazał się nie być własnością tejże. Pismo do powiatu – potok nie należy do zasobów powiatu. Wojewoda nie ma go na stanie. Do Pana Premiera nie napisano. Może szkoda, a nóż-widelec do Rządu należy? Pan Prezydent nie wypowiedział się.

Coś mi się zdaje, że gdyby chodziło o podatki np. za wodę używaną do jakichś celów, czy coś tam, coś tam - jak mówi posłanka Kruk - właściciel znalazłby się natychmiast. Ale tu chodzi o przeprowadzenie prac i wydatkowanie pieniędzy (**naszych** pieniędzy, na **nasze** potrzeby, bo przecież z podatków przez **nas** płaconych). A strumyk? Płynie sobie z wolna, choć trzeba przyznać w wielu miejscach jest w miarę uregulowany, czeka na wielką wodę, by znów pokazać swoją potęgę ludziom, którzy mieszkają opodal. Jest w pełni kapitalistyczny, sam sobie panem, sterem, okrętem i … powodzią.

Tylko ludzi żal, kiedy znów w najbliższym czasie będą musieli na nowo remontować swoje domy. Bo strumyk nie zapłaci ani odszkodowania, ani do sądu się go nie poda. Dziwny ten nasz gminny kapitalizm.

Nazwa rzeczki (jak i wsi) pochodzi od raka – po niemiecku Krebs – rak; raki, jak i pstrągi były głównymi mieszkańcami potoku. W pogańskich czasach ciekowi przypisywano cudowną moc: kto się w nim wykąpał wczesnym rankiem, kiedy mgły okrywały ziemię, zyskiwał zdrowie i siły przeciw złym mocom, oraz zmywał wszystkie winy. Dlatego okoliczna ludność kąpiel w strumieniu nazywała „świętą kąpielą", a rzeczkę „świętą rzeką". Jeżeli jednak ktoś wykąpał się w strumieniu o nieodpowiedniej porze, jego choroby pogłębiały się, złe moce wstępowały w człowieka, a jego przewiny wobec ludzi były widoczne jak na dłoni.

Jeżeli stare legendy i podania mówią prawdę, to niedługo zobaczymy wśród mgieł porannych odpowiedzialnych za zaniedbania i wykonawców różnych prac przy potoku, kąpiących się w „świętych wodach", by zmyć winy. Nie wiem tylko, czy wskazane jest moczenie głowy… a nóż nie trafimy z porą?

Jacek Krasnopolski

Udo Wegner

Udo Wegner - z racji wieku można powiedzieć emeryt, z zamiłowania i wykształcenia śpiewak operowy, muzyk - nauczyciel oraz artysta - malarz. Człowiek bardzo sympatyczny i rozmowny, podobnie jak jego małżonka, mieszkaniec Mlądza z dużym poczuciem humoru, lekkością bycia i otwartym umysłem.

Karolina Dulat: Jak się Panu żyje w Polsce?

Udo Wegner: Bardzo dobrze, szczególnie spokojnie. Moja żona pracuje w Świeradowie - Zdroju, ja już nie muszę pracować. Robię to, co chcę i co mi się podoba. Poza tym w koło domu ciągle jest coś do zrobienia.

K.D.: Dlaczego zdecydował się Pan zamieszkać w Mlądzu?

U.W.: To był całkowity przypadek, właściwie chcieliśmy zamieszkać w Zakopanem. Takie były przynajmniej plany. Jednak z różnych względów nic z tego nie wyszło. Całkiem przypadkowo, będąc w Niemczech, znaleźliśmy ogłoszenie w polskiej gazecie, informujące o możliwości zakupu nieruchomości w Mlądzu. Sprawdziliśmy na mapie, gdzie jest położone to miejsce. Żadne z nas nie miało pojęcia, gdzie leży Mlądz. Okazało się że położony jest koło Świeradowa - Zdroju, w Górach Izerskich, blisko Karkonoszy. Doszliśmy do wniosku, że należy tam pojechać i obejrzeć miejsce z bliska. Koniec końców kupiliśmy ten kawałek ziemi i tu mieszkamy.

K.D.: Przed przyjazdem jakie miał Pan doświadczenia z Polską, Polakami?

U.W.: Doświadczenia z Polską i Polakami miałem dobre. Do czasu przeprowadzki tutaj, odwiedzałem Polskę, już wcześniej byłem wiele razy w Zakopanem i nad Bałtykiem. Do czasu przeprowadzki tutaj zdążyłem poznać już trochę tutejszą kulturę i tutejszych ludzi.

K.D.: Co należy Pana zdaniem aktualnie do zalet życia w Polsce?

U.W.: Bardzo podoba mi się tutaj to, że jeszcze nie wszystko jest tak ucywilizowane jak w Niemczech. Tutaj można znaleźć miejsca, w których człowiek nie zdążył jeszcze nic zmienić, niczego naruszyć. Cieszę się widokiem trochę dziko wyglądających kawałków ziemi. Jestem zadowolony, że nie muszę zaglądać w okna sąsiadom, nie ma tu zgiełku, jest cisza i spokój.

K.D.: Czy wyprowadziłby się Pan teraz chętnie z powrotem do Niemiec?

U.W.: Nie, znalazłem tutaj moje miejsce, tutaj chcę żyć i tworzyć do końca moich dni.

K.D.: Czy zaobserwował Pan różnice kulturowe, czy mocno przeszkadzają w codziennym życiu?

U.W.: Polska i Niemcy są tak do siebie podobne, że praktycznie nie doszukiwałbym się tutaj różnic. Jedyne, co mógłbym ewentualnie brać pod uwagę, to to, że w Polsce odczuwa się jeszcze trochę echa komunistycznej przeszłości, widać trochę biedę, ale w Niemczech też się widzi, może nie taką jak tutaj, ale też jest. Poza tym nie widzę jakichś znaczących różnic.

K.D.: Jest Pan artystą, to niełatwy kawałek chleba. Jeśli spojrzeć w historię, to wielu malarzy, poetów czy kompozytorów zaczęto doceniać dopiero po śmierci. Czy sztuka, malarstwo cieszą się tutaj zainteresowaniem?

U.W.: W określonych kręgach. Miałem wernisaż w Świeradowie Zdroju. Tutaj na miejscu otworzyłem galerię. Od czasu do czasu pojawiają się interesanci. Moje obrazy wiszą w hotelach, a także u osób prywatnych. Ostatnio kilka moich prac pojechało do Wrocławia. Zdarza się, że ludzie coś sobie wybiorą z moich obrazów. Aktualnie wcale nie potrzebuję pracować, robię to z własnej potrzeby i dla własnej przyjemności, a że zdarza się zrobić przy okazji przyjemność innym i sprzedać jakiś obraz, to świadczy tylko o tym, że prace się podobają.

K.D.: Jakie obrazy, malarstwo podoba się Polakom?

U.W.: Bardzo różnie. Mam wrażenie, że ludziom tutaj podobają się bardziej pejzaże, kwiaty, natura, ale są i tacy, którzy od pejzażu wolą abstrakcję. Ja sam maluję to, na co mam ochotę: gdy mam potrzebę lub gdy coś zobaczę, co mnie poruszy, bądź gdy przeżyję coś, co chciałbym przenieść na płótno. Nie zawsze łatwo jest znaleźć motyw. Bywa, że to, co przelewa się na płótno, co odzwierciedla nasze przeżycia wspomnienia, poprzez kompozycję, dobór kolorów jest wyrazistsze i ciekawsze niż to co, się kopiuje z natury. W malowaniu abstrakcji ma się większą dowolność.

K.D.: Mimo że jest Pan zarówno artystą malarzem jak i muzykiem, poświęcił się Pan malarstwu. Jaki był powód tego wyboru?

U.W.: Początkowo byłem śpiewakiem operowym, potem zostałem nauczycielem muzyki i sztuki, teraz od pięciu lat jestem emerytem i ciągle jeszcze maluję. W momencie kiedy zdecydowałem się zostać nauczycielem, zrezygnowałem ze śpiewania. Śpiew wymaga ogromnego zaangażowania, ćwiczeń kilka godzin dziennie. Aby utrzymać formę, trzeba ćwiczyć; nie można być dobrym śpiewakiem bez treningu. Zdaję sobie z tego sprawę i nie śpiewam.

K.D.: Czy nie tęskni Pan za muzyką, śpiewem, publicznością?

U.W.: Zrezygnowałem ze śpiewania i z tym, co się ze śpiewaniem wiąże, dlatego nie myślę już o tym. To była naprawdę ciężka praca, trzeba było się mocno wysilać. Śpiewak operowy w ciągu dwóch trzech godzin wieczornego koncertu spala więcej kalorii (5000 - 6000) jak sportowiec wyczynowy. Teraz nie mam już ochoty na taki wysiłek.

K.D.: Czy oprócz klasycznych ulubieńców (Verdi i Mozart) ma Pan jakieś ulubione pozycje wykonawców muzyki nowoczesnej?

U.W.: Właściwie nie, jestem wielbicielem muzyki klasycznej : oper, niemieckiej muzyki artystycznej, pieśni takich kompozytorów jak np. Schubert, Schumann, Brahms, Strauss. Właśnie takiej muzyki najchętniej słucham.

K.D.: Czy w dzisiejszych czasach łatwo jest być artystą?

U.W.: Niestety nie, żeby do czegoś dojść trzeba mieć naprawdę wybitny głos, bądź inny artystyczny talent. W przeciwnym razie wybić się jest bardzo trudno. Mimo wszystko dobrze jest mieć dodatkowo wyuczony drugi zawód, jako rodzaj zabezpieczenia w trudnych dla artysty momentach życia.

K.D.: Pochodzi Pan z rodziny z tradycjami muzycznymi?

U.W.: Moja rodzina była muzykalna, ale żadne z rodziców nie było z wykształcenia muzykiem. Rodzice grali na instrumentach, ale nauczyli się tego ze słuchu, nie znali nut. Mama grała na skrzypcach i mandolinie, a tato na akordeonie i bandoneonie.

K.D.: Nadchodzą Święta Bożego Narodzenia, w jaki sposób obchodzi się je u Pana w rodzinie?

U.W.: Właściwie tak jak w Polsce, tyle tylko że ja jestem protestantem, w związku z czym zamiast karpia mamy kaczkę. Moja żona jest katoliczką, dlatego przygotowuje na stół potrawy pochodzące z tradycji obu tych religii.

Będąc protestantem nie znałem tradycji dzielenia się opłatkiem oraz składania sobie życzeń w wieczór wigilijny, ale poza tym jest, jak już mówiłem bardzo podobnie, też śpiewa się kolędy, a co najważniejsze spędza się ten czas w domu z rodziną, na ile jest to oczywiście możliwe.

K.D.: Dziękuję za rozmowę i życzę wszystkiego dobrego.

U.W.: Ja również dziękuję.

Karolina Dulat

Jak to w Mirsku z kolejami bywało - ciąg dalszy

Jeszcze przed uruchomieniem połączenia przez Pobiedną i Wolimierz z Jindrichovicami trwały prace nad projektem budowy całej sieci wąskotorowych linii kolejowych. Ostatecznie, w innym kształcie, powstała jedna linia Mirsk - Świeradów.

Początki linii Mirsk-Świeradów wiążą się z projektami zainicjowanymi przez Kameralny Urząd Schaffgotschów w latach 1896-1897, dotyczącymi całego systemu połączeń wąskotorowych w dobrach Schaffgotschów. Linie te miały połączyć wszystkie większe miejscowości mające znaczenie gospodarcze, turystyczne lub uzdrowiskowe z siecią kolei państwowych. Projekt nie uzyskał jednak akceptacji prezydenta rejencji legnickiej i upadł. Po czterech latach z inicjatywą uruchomienia linii kolejowej wystąpiła spółka Allgemainen Deutsches Kleinbahngeseltschaft A.G. z Berlina w roku 1901. Projekt zakładał budowę linii normalnotorowej i spółka uzyskała zgodę na jego realizację, jednakże z nieznanych przyczyn (prawdopodobnie finansowych) do budowy nie doszło. Następnie w 1903roku o zgodę na budowę w występuje firma Hutter, Walter & Co z Hamburga. Po akceptacji rozpoczyna budowę, jednak nie wykracza poza stadium prac wstępnych. Dnia 23 kwietnia 1903 r. Prezydent Prowincji Śląskiej wydał oświadczenie, że w najbliższej przyszłości nie przewiduje się budowy państwowej linii kolejowej w Górach Izerskich.

2 października 1905 r. spółka Eisenbahn Gesellschaft Becker & Co z Berlina złożyła wniosek o zgodę na przeprowadzenie wstępnych prac normalnotorowego połączenia z Mirska do Świeradowa. W styczniu 1906 r. zostało wydane pozwolenie i prace wstępne w terenie rozpoczęto 1 lutego. Na skutek nadzwyczaj mroźnej zimy przerwano je po 2 tygodniach i wznowiono 19 marca. Wynikła też konieczność uzupełnienia materiałów kartograficznych.

W 1907 roku był gotowy projekt i kosztorys linii. Pierwotnie (w 1906 roku) zakładano koszt 1 300 000 marek, czyli 116 000 na kilometr.

Kosztorys z 1907 roku zakładał już 1 450 000 marek.

Intrygujące jest to, że na podstawie opracowań w 1906 r. Wydział Powiatowy we Lwówku Śl. zwrócił się do Landeshauptmanna Śląska we Wrocławiu z wnioskiem o udzielenie pożyczki wysokości 3 000 000 marek na budowę linii. Zastanawiająca jest różnica w kwotach kosztów budowy. Jestem przekonany, że wynikało to z różnic w przeznaczeniu – na kolej normalno- lub wąskotorową.

Ostatni etap realizacji rozpoczęło powołanie spółki akcyjnej „Friedeberg-Flinsberger Kleinbahn Aktien Gesellschaft" w dniu 1 lutego 1908 roku. Cztery dni później, 5 lutego 1908 r., spółka ta otrzymała zgodę Prezydenta Rejencji Legnickiej na budowę i eksploatację linii normalnotorowej między Mirskiem i Świeradowem Zdr. Kapitał spółki wynosił 1 370 000 marek. W jego skład wchodziły udziały następujących instytucji oraz osób: powiat lwówecki, graf Schaffgotsch oraz inne osoby prywatne, spółka Eisenbahn Gesellschaft Becker & Co, spółka Eisenbahn Gesellschaft Becker, gmina Świeradów i miasto Mirsk. Na inwestycję został zaciągnięty również kredyt w Provinzial-Hilfskasse. Pierwsza Rada Nadzorcza składała się z następujących osób: przewodniczącym był starosta powiatu lwóweckiego Loewenstein, zastępcą – adwokat i notariusz Giebelhausen, przedstawiciel rodziny Schaffgotschów – radca sądowy Hertel oraz burmistrz Mirska Häusler.

Właściwe roboty w terenie rozpoczęły się w marcu 1908 roku. Pierwszy etap - odcinek do Świeradowa - zakończono 1 października 1909 roku. Dokończenie linii, tj. odcinka ze Świeradowa do Świeradowa-Nadleśnictwo, nastąpiło 29 lipca 1910 roku.

Uroczyste otwarcie połączenia ze Świeradowem miało miejsce 31 października 1909 roku, uruchomienie linii do Nadleśnictwa – 5 czerwca 1910 roku.

Na uroczystości przybyli: sam Prezydent Rejencji Legnickiej baron Seher-Thoss, komendant 18 brygady piechoty generał-major Kunzen z Legnicy, graf Rzeszy Schaffgotsch, radca handlowy Kretschmer z Berlina i kolejowy nadradca budowlany z Wrocławia. Przy tej okazji burmistrz Häusler wygłosił przemówienie.

Z informacji, które udało mi się zebrać, wynika, że w pierwszym okresie funkcjonowania linia kolejowe była linią wąskotorową. Potwierdza to obecność nietypowego żurawia na stacji Świeradów Zdrój, szyna znaleziona na bocznicy stacji Krobica oraz widokówka sprzed 1914 roku, przedstawiająca dworzec Świeradów Zdrój. Kiedy przebudowano tę linię na normalnotorową ? Nie udało mi się ustalić. Prawdopodobnie z tym faktem związana jest zmiana nazwy spółki na „Isergebirgsbahn A.G" (Kolej Izerska S.A.).

Pod względem technicznym linia (normalnotorowa) była przystosowana do stosunkowo dużego ruchu (planowano połączenia Berlin-Świeradów), przewidziano więc wytrzymałą nawierzchnię. Między stacją początkową w Mirsku a stacją końcową w Świeradowie-Nadleśnictwie odległość wynosi 11,2 km a różnica poziomów 206 m Dworzec w Mirsku miał być użytkowany wspólnie z kolejami państwowymi. Dla obsługi ruchu towarowego planowano rozbudowę pomieszczeń magazynowych, wybudowanie ramp załadowczo-wyładowczych, wagi i placu składowego, które można obejrzeć także dziś. Stacja w Mroczkowi-

Skład osobowy Isergebirgsbahn na stacji w Mirsku - lata 20-te

cach *Egelsdorf* (3,3 km od Mirska, 33 m wyżej) miała posiadać budynek stacyjny, peron, budynek gospodarczy, magazyn. Następna stacja, Krobica *Krobsdorf* (5,3 km, 92 m) miała mieć wyposażenie prawie identyczne jak Mroczkowice. Wyposażenie stacji Świeradów *Bad Flinsberg* (7,7 km, 141 m) miało odpowiadać rangą sławnemu w Prusach kurortowi. Wybudowano dworzec, który harmonizował z zabudową Świeradowa, zaopatrzony w prąd, bieżącą wodę, kanalizację, mieszczący kasy, pomieszczenia biurowe i pokoje gościnne. Na stacji znajdowały się 2 perony, zadaszone magazyny, rampy załadowcze i plac składowy. Ostatnią stacją linii był Świeradów-Nadleśnictwo *Flinsberg Forst* (10,8 km od Mirska, 206 m różnicy wysokości). Stacja miała służyć głównie dla ruchu towarowego (baza przeładunku drewna), lecz przewidziano też ruch osobowy. Znajdowały się tu perony dla pasażerów, rampa załadowcza z torem o długości 170 m i otwarta hala poczekalni. Zamiarem projektantów było przedłużenie linii kolejowej do Szklarskiej Poręby.

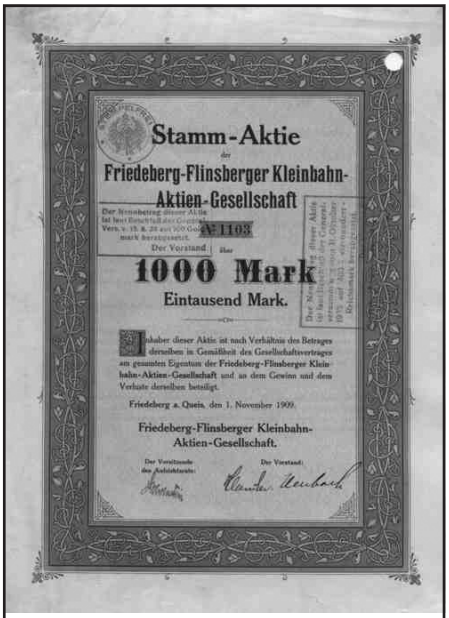

Egzemplarz akcji spółki budującej Kolej Izerską o nominale 1000 marek

Tabor składał się z dwóch nowych parowozów T33 angielskiej firmy Vulkan, wagonu pocztowego, sześciu 2-osiowych wagonów towarowych i czterech wagonów osobowych jedynie trzeciej klasy. W latach późniejszych, w związku z pogarszającą się kondycją finansową, tabor był modernizowany. W 1929 r. sprzedano dwie używane lokomotywy T33, a zakupiono nowocześniejszą T34 firmy Hohenzollern. W roku 1930 dokupiono jeszcze jedną firmy Henschel. Na początku lat 30-tych odkupiono od kolei państwowych 2 parowozy T26 obsługujące dotychczas kolej zębatą w Turyngii. Po demontażu zębatek nadano im oznaczenie T92. W latach późniejszych używano jeszcze parowozów T93 oraz BR86.

Obsługę techniczną parowozów i wagonów realizowano w zakładach kolei państwowych, mniejsze naprawy dokonywane były we własnym warsztacie, przy lokomotywowni w Mirsku, w nieistniejącym już dziś budynku, który znajdował się na rozwidleniu torów na Pobiedną i Świeradów Zdr., ok. 50 m od przejazdu kolejowego. Zburzony został dopiero na początku lat 80-tych ubiegłego wieku.

Feliks Chojnacki

Widmo powstania kolejnej kopalni nadal krąży

Mieszkańcy Kwieciszowic i Proszowej zostali zaalarmowani, że firma ubiegająca się o otwarcie kopalni skalenia nie zrezygnowała z realizacji swojego celu. Jej przedstawiciele krążą po okolicy docierając do różnych osób i instytucji, od których może zależeć powodzenie tej operacji. Nie dążą do spotkania z samymi mieszkańcami wiedząc, że nie przekonają ich do swojego pomysłu. Spotykają się z ludźmi, którzy mogą mieć jakikolwiek wpływ na opinię społeczną. Na szczęście tworzymy społeczność, w której ludzie przekazują sobie różne informacje, a wiadomości o lobbowaniu za budową kopalni rozchodzą się wręcz lotem błyskawicy. Tak też się stało i tym razem. Sygnał alarmowy wysłał Pan Arek Włodarski, a odebrała go Pani Teodora Buksa, która zorganizowała w trybie pilnym spotkanie mieszkańców wyżej wymienionych miejscowości z władzami naszego powiatu i gminy. Stawili się wszyscy zainteresowani, oczywiście poza przedstawicielami firmy zabiegającej o powstanie kopalni…

Jaki był przebieg spotkania, co się tam działo i czym się skończyło, dowiecie się drodzy czytelnicy w następnym miesiącu w artykule pod tym samym tytułem.

Organizatorka spotkania ze starostą - pani Teodora Buksa i mieszkańcy

Bogusław Nowicki

Ludzie ludziom zgotowali ten los…

Rozmowa z Reginą Jadowską – zesłaną wraz z rodzina na Syberię w 1940 roku.

W obliczu tegorocznych obchodów 90-tej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości, nie sposób nie pochylić się nad historią. Dziś rozmawiamy z panią Reginą Jadowską, której rodzina przeżyła piekło obydwu wojen światowych, a sama pani Regina uczestniczyła w zbiorowej zsyłce narodu polskiego na Syberię.

Red.: Dzień dobry, pani Regino!
R.J.: Dzień dobry!

Red.: Czy mogłaby pani przybliżyć naszym czytelnikom dzieje swojej rodziny?
R.J.: Tak, oczywiście. Zajmę się jednak tylko II wojną i długoletnią tułaczką po Związku Radzieckim, ponieważ te właśnie zdarzenia są mi wyjątkowo bliskie. Większość mojej opowieści będzie się opierać na relacjach przekazanych mi przez moją matkę, Zofię.
Mieszkaliśmy, wraz z mamą, jej rodzicami oraz rodzeństwem w niewielkim, parterowym domku z ogrodem w wołyńskim miasteczku Sarny. Mój dziadek, Jerzy Szyło, był mechanikiem w miejscowym tartaku, babcia Franciszka natomiast zajmowała się gospodarstwem, pomagała także swym córkom w wychowywaniu dzieci. Ja miałam w przeddzień wybuchu wojny 14 miesięcy, natomiast mój kuzyn Janusz – 5.

Red.: Co w tym czasie działo się z pani ojcem?
R.J.: Tatuś był porucznikiem i od 1936 roku stacjonował wraz ze swym oddziałem w rejonach Karpat, strzegąc polskiej granicy. Mój wuj, ojciec Januszka, także był oficerem Wojska Polskiego.

Red.: Jak potoczyły się losy pani rodziny po wybuchu wojny?
R.J.: Babcia na samą wieść o wybuchu wojny zaczęła robić zapasy jedzenia susząc głównie kromki chleba i chowając je potem do worka. Mój ojciec podczas kampanii wrześniowej trafił do niewoli

niemieckiej i przebywał w niej praktycznie przez całą wojnę. My, w ciągłym lęku, żyliśmy z dnia na dzień nadzieją na informacje o zakończeniu wojny.

Red.: Te informacje jednak nie nadchodziły. Czy życie w nieustannym strachu, jeszcze na Wołyniu, było ciężkie?
R.J.: Nie da się tego ukryć. Z tego, co mówiła moja mama było to ciągłe oczekiwanie i strach przed wspólnym, nieznanym losem. Każdego dnia było słychać wieści o kolejnych rodzinach wygnanych przez NKWD ze swych domostw pod błahym pretekstem i wywożonych w głąb Związku Radzieckiego.

Red.: Ten los podzieliła także pani rodzina, prawda? Jak to się stało?
R.J.: To było bodajże w nocy z 11-go na 12-go kwietnia 1940 roku. Całą rodzinę obudziło łomotanie w drzwi. Gdy dziadek otworzył, do domu weszło dwóch żołnierzy NKWD z uzbrojonymi karabinami i nakazali opuszczenie posiadłości. Dali nam 2 godziny na spakowanie najpotrzebniejszych rzeczy. Widząc dwójkę malutkich dzieci, wręcz nakazali nam zabrać ze sobą dużo jedzenia. Babcia zajęła ich herbatą, natomiast moja mama z siostrą Walentyną i braćmi – Mieczysławem i Klaudiuszem zajęli się pakowaniem.

Red.: Czy brane były tylko te najpotrzebniejsze rzeczy, czy może również pamiątki rodzinne lub jakieś cenne przedmioty?
R.J.: Oczywiście głównie braliśmy jedzenie i odzież. A co do pamiątek to do tej pory posiadam w domu dwa obrazy Matki Boskiej, zabrane wtedy z Saren, kilka fotografii i dokumentów. Co ciekawe, moja mama zabrała nawet swą piękną balową suknię. Najcenniejsze rodzinne pamiątki można było ukryć w naszych becikach, a dzięki naszej obecności żołnierze patrzyli łaskawszym okiem na większa ilość spakowanych rzeczy. Udało się nawet „przemycić" mundury mego ojca i wuja.

Red.: I co dalej? Jak potoczyła się Wasza wędrówka ludów?
R.J.: Władowano nas do pociągu z około czterdziestoma wagonami do przewozu bydła – i tak zaczęła się nasza tułaczka. Podróż trwała ponad 6 tygodni. Myślę, że przełomowym momentem było przekroczenie granicy między Europą a Azją. Moja matka z ciotką straciły wtedy nadzieję, że zobaczą jeszcze kiedykolwiek swych mężów, walczących gdzieś na froncie.

Red.: Gdzie zakończył się pierwszy etap tej nieludzkiej podróży?
R.J.: Moja rodzina została przewieziona do tartaku „Less Zawod Smolnyj".

Red.: Jak wyglądało życie w tej osadzie?
R.J.: Otrzymaliśmy niewielkie mieszkanie, składające się z malutkiej kuchni, pokoiku i korytarzyka. Można sobie wyobrazić, jaki panował w nim ścisk, bo przecież było nas siedmioro. Ci, którzy mogli pracować zatrudnieni byli w tartaku. W zamian za prace otrzymywali kartki na żywność. Było bardzo ciężko.

Red.: Warunki klimatyczne też zapewne nie sprzyjały życiu, pracy i wychowywaniu dzieci?

Fotografia rodziny pani Reginy Jadowskiej

R.J.: Tak. Pamiętam zimy, kiedy temperatura dochodziła nawet do minus 40 stopni, a śnieg sięgał aż po dachy. Latem natomiast, trwającym ok. 3 miesięcy, nie można było wcale wychodzić boso na dwór, bo w dzień piach parzył, nocą zaś był strasznie zimny. Lato to był także okres gromadzenia pożywienia – poziomek, grzybów, a także upolowanej zwierzyny.

Red.: Jaka atmosfera panowała w osadzie?
R.J.: Generalnie była dobra. Pracownicy żyli w dobrych stosunkach. Raz w miesiącu do tartaku przyjeżdżał sekretarz partii, który sprawdzał działanie zakładu. Podczas każdej wizyty groził nam, że jeśli nie będziemy pracować, to się z nami policzy. Namawiał także Polaków do przyjęcia radzieckiego obywatelstwa, nikt jednak nie był tym zainteresowany.

Red.: Ile czasu spędziła pani rodzina na wygnaniu?
R.J.: Licząc od wysiedlenia z Saren, do osiedlenia się pod Wrocławiem, było to około 6 lat.

Red.: Jak wyglądała powrotna podróż do Polski?
R.J.: Każdy, kto pracował w tartaku otrzymał dokument, tzw. sprawkę, zaświadczający o czasie i rodzaju pracy jaką wykonywał. Podróż, zdawało się do Polski trwała miesiąc. Jak się okazało, stacja końcową była Ukraina. W kołchozie spędziliśmy pół roku. Moja ciotka Walentyna, była wybrana przez Polaków jako ich delegatka w wyprawach po żywność do Charkowa. W pierwszą taką drogę wybrała się pieszo licząc na podwiezienie. Jakaż była uciecha wszystkich, kiedy zobaczyli ją wracającą na… czołgu.

Red.: Czy życie w kołchozie było podobne do tego w tartaku?
R.J.: Nie, ludzie byli tu do siebie wrogo nastawieni, panował wszechobecny głód, a i Rosjanie byli nieprzyjaźni. Na szczęście to piekło nie trwało długo - po 6-ciu miesiącach znów ruszyliśmy pociągiem, tym razem do Rzeszowa.

Red.: Jak zostaliście tam przyjęci?
R.J.: Ludzie byli przyjaźni, częstowali nas jedzeniem i dawali czyste, świeże ubrania. Okazało się, że mój ojciec dostał pracę w rzeszowskim urzędzie repatriacyjnym. Takim oto sposobem moi rodzice odnaleźli się po ponad 6-ciu latach rozłąki. Radości nie było końca.

Red.: To niesamowite, że akurat w Rzeszowie Pani ojciec otrzymał pracę. A co stało się z resztą rodziny?
R.J.: Walentyna udała się do Mroczkowic, nieopodal Mirska, gdzie jej mąż otrzymał mieszkanie. Radość powitania zakłóciła nagła choroba Januszka, który po kilku miesiącach choroby zmarł. Dziadkowie zamieszkali razem z Walentyną i jej mężem Franciszkiem, Mieczysława natomiast poszukiwano za pomocą Czerwonego Krzyża. Po kilku długich miesiącach i on dotarł do Mroczkowic, gdzie mieszkał do śmierci. Z osób, które przeżyły to nieludzkie piekło z mojej rodziny pozostałam przy życiu tylko ja. Do dnia dzisiejszego mieszkam w gospodarstwie, w którym po wojnie osiedlili się moi rodzice.

Red.: Czego życzyłaby Pani Polakom z okazji Święta Odzyskania Niepodległości.
R.J.: Życzę nam wszystkim, abyś mogli żyć w wolnym kraju, aby żadne pokolenie nie musiało więcej przechodzić tego, co przeszłam ja, ze swoją rodziną.
Red.: Dziękuje serdecznie za rozmowę.
R.J.: Dziękuję!

Dawid Dasiak

Romania - dragostea mea!

Jeśli pojedziecie z Mirska na urlop na zachód, to wasze opowieści mniej lub bardziej należeć będą do tzw. standardowych i powiecie co najwyżej: plaża była ładna, jedzenie dobre, widziałam śliczne zabytki, kupiłam sobie coś ładnego. Jeśli zaś zdecydujecie się pojechać na wschód, to nic nie będzie standardowe, podróż przyniesie wówczas pewną dozę niepewnego, spore szanse, że coś się nie powiedzie, zanurzycie się w mistycznym świecie, sięgającym korzeniami wprost do samego Bizancjum, które nie ma nic wspólnego z zachodnim dekadentyzmem i czerpaniem przyjemności pełnymi garściami i za wszelką cenę. Viva Europa Orientalis!

Chcesz wiedzieć, co to podróż przez pół Europy do magicznej krainy? Chcesz wiedzieć, co to rumuńskie klimaty? No to zapnij pasy i ruszamy! Powiedzmy o godzinie pierwszej w nocy. To najlepszy czas na jazdę przez Polskę. Wtedy ruch jest najmniejszy, jest najbezpieczniej, wyprzedzający na trzeciego i czwartego to rzadkość. Sielskie klimaty. Czasem stoi jakiś jeleń na drodze, ale co to dla nas Polaków zaprawionych w bojach, posiadających rzadką sztukę wyprzedzania slalomem pięciu ciężarówek na raz? Podczas jazdy nocnej jelenie, sarny i dziki to betka, notabene uchodzą one za największą atrakcję w Polsce. (sic!) Mam taką mapę Europy z atrakcjami turystycznymi. Na terenie Polski narysowano wyżej wymienione z nazwy zwierzęta,Wawel, PKiN w Warszawie i jakąś fabrykę w miejscu, gdzie znajduje się Wrocław, i to wszystko!!! O wiele bardziej należy obawiać się dziur w drodze. W nocy po prostu ich nie widać, albo widać je wtedy, gdy jest już za późno. Na zakręcie można na takiej dziurze wylecieć jak z procy. Zapytajcie fachowców! Na szczęście, gdzieś tak za Złotoryją zaczyna się autostrada, czyli normalny świat i tam dziur nie ma. Jedzie się więc szybko, na razie za darmo (ponoć tylko do wakacji 2009), prując powietrze do samego Krakowa. Z Krakowa na wschód jest już trochę gorzej, tzn. droga jest świetna, tylko jest tak dużo samochodów (Kraków nieprawdopodobnie spuchł, a jego okolice to jeden z najgęściej zaludnionych obszarów Polsce), iż stanie w korkach, podobnie jak oddychanie, należy tu do podstawowych czynności fizjologicznych tubylców. W okolicach Bochni i Brzeska droga międzynarodowa E 40 to jakiś obłęd - tak wielki jest ruch. Jeśli się człowiekowi spieszy, to można się zapłakać na śmierć. Ci, którzy tam mieszkają, tracą sporo czasu na dostanie się do Krakowa (do pracy, do szkoły), który leży praktycznie na wyciągnięcie ręki. Polska to taki piękny kraj, tylko przez 60 lat nikt tu dróg nie budował, o autostradach nie wspominając. My, z przyczyn rodzinnych, zatrzymujemy się w Rzeszowie, ślicznym i zadbanym mieście, o którym mieszkający tu niegdyś Wojciech Kilar powiedział, iż jest miejscem wręcz magicznym. Stąd niedaleko także do Łańcuta, Leżajska, Sandomierza, Przemyśla, Krasiczyna, Sanoka i w Bieszczady. Reklamować tych miejsc chyba nie trzeba. Wspomnę jedynie o Sandomierzu (podróż miała mieć bowiem bizantyjski charakter), gdzie w kościele katedralnym, w prezbiterium znajdziemy autentyczne freski w kanonie sztuki bizantyjskiej z 1423 roku, m.in. rusko-bizantyjską polichromię Zaśnięcia NMP fundacji Władysława Jagiełły - unikat na skalę ogólnopolską. Po kilkudniowej przerwie w podróży wyruszyliśmy z Rzeszowa na południe w kierunku przejścia granicznego w Barwinku. Przejazd przez Słowację i Węgry to czysta sielanka. Cóż można napisać? Drogi są świetne, znaki drogowe dobrze widoczne i stoją w miejscach, gdzie trzeba, a nie tam, gdzie nie trzeba. Tuż przed Prešovem z przełęczy, którą musimy pokonać samochodem, można zobaczyć jeden z najpiękniejszych widoków na Tatry. Widok zapiera dech w piersiach, zwłaszcza o wschodzie słońca. Na Węgrzech drogi są jeszcze lepsze, autostrady zaś płatne. Nie ma bramek ani na autostradach, ani na zjazdach, ale jest system monitoringu. Koniecznie więc należy wykupić winietę. Węgrzy są dla nas bardzo mili. Widać, że powiedzenie o bratankach znane jest także i im. Jedzenie na Węgrzech jest wciąż tanie, zwłaszcza poza centrami turystycznymi. Ani się obejrzymy i już jesteśmy na rumuńskiej granicy. A więc dotarliśmy. Co teraz? Co zobaczymy, kogo poznamy?! Opowieści niektórych ludzi o tym kraju budzą przerażenie. Znajomy z Rzeszowa kilkanaście lat temu opowiadał mi, że gdy jechali rowerami przez Rumunię, w jakimś niewielkim miasteczku o mało nie stracili całego dobytku, z rowerami włącznie. Do dziś straszy się hordami cygańskich dzieci i kobiet, które biegają za samochodami, potrafią wyrwać bagaże, plecaki, torebki z dokumentami, a także tabunami złodziei i wszędobylskimi złymi oczami spod znaku transylwańskich opowieści o czającym się wszędzie niebezpieczeństwie i złu. Wzięliśmy więc głębszy oddech w Oradei, pierwszym rumuńskim mieście na naszym szlaku. Bądź co bądź to jeszcze miasto. Ale co będzie w górach??? Oradea wita bardzo przyjaźnie. To duże, ładne miasto.

Wesoły Cmentarz (Cimitirul Vesel) w miejscowości Sapanta

Powstaje w nim obecnie jedna z największych cerkwi Rumunii. Rumuni są w znakomitej przewadze wyznania prawosławnego. Na skrzyżowaniach miast zauważyliśmy rewelacyjny patent (coś takiego zobaczycie także w Bułgarii): obok sygnalizacji świetlnej znajduje się licznik elektroniczny, który pokazuje w sekundach, jak długo palić będzie się jeszcze światło zielone lub czerwone. Znakomicie poprawia to płynność ruchu.

Naszym celem była tego dnia Transylwania. Tam mieliśmy nocować. Szybko okazało się, iż Rumunia nie jest taka straszna, a ludzie są niezwykle mili. Spaliśmy w gościnie w prywatnym domu, 500 metrów od osławionego zamku Drakuli w miejscowości Bran. Choć zamek to jeden ze sztandarowych punktów, które zwiedzają turyści, to jednak tak naprawdę Drakula w nim nie mieszkał. Cała okolica należała do niego, ale siedziba rodowa znajduje się kilkadziesiąt kilometrów dalej.

Ludzie, u których mieszkaliśmy, okazywali się za każdym razem bardzo mili, otwarci, serdeczni i gościnni. Czegoś takiego na zachodzie Europy, nastawionej raczej na zysk, niż na spotkanie z drugim człowiekiem, chyba już nie zobaczymy, a jeśli nawet, to niezmiernie rzadko. Tak jest obecnie także we wszystkich centrach turystycznych świata. Uśmiech nie jest autentyczny, ale przyklejony, taniec hawajski coraz bardziej przypomina lambadę, w Karpaczu kupicie góralską ciupagę i wszędzie pod Śnieżką zobaczycie,

jak wygląda zakopiańska architektura, oscypki zjecie w Kołobrzegu, a cannelloni i tagliatelle w Brazylii. W Rumunii tak na szczęście nie jest. W rumuńskiej części Mołdawii, na przykład, wszystkie domy są wybudowane w charakterystycznym mołdawskim stylu. Domy są przepiękne. Trudno to nawet opisać. Trzeba to po prostu zobaczyć. Innym ciekawym polem do porównań jest sposób traktowania turysty. W wielkich turystycznych centrach Europy Zachodniej wszyscy widzą w turyście raczej sakiewkę, z której można, a nawet trzeba, bez skrupułów wytrząsnąć ostatni grosz. Rumunia to wciąż inny, pod tym względem, lepszy świat. Tak więc rumuńscy gospodarze to lek na zranioną duszę globtrotera, to ludzie, którzy przygotują wam na śniadanie, co zechcecie, podadzą kolejną porcję jajecznicy czy kawy, zaoferują potrawy prawdziwej rumuńskiej kuchni, to wszystko bez podnoszenia ceny noclegu (śniadanie z reguły wliczone jest w cenę). Niewiarygodne? A jednak prawdziwe. A może, tak sobie myślałem, Rumuni czują jakiś szczególny sentyment do nas Polaków? Z pewnością wielu pamięta wielowiekową przyjaźń tych dwóch narodów, wspólnotę interesów, walkę z osmańskim najeźdźcą, umożliwienie ucieczki wielu Polakom w czasie drugiej wojny światowej. Serdeczność ludzi wynika też zapewne z faktu, iż niewielu Polaków do Rumunii zagląda. Jestem przekonany, że ludzie ci są autentycznie przyjaźnie do nas nastawieni, bo to od razu widać po twarzy i po oczach. Są szczerzy, ufni, otwarci i często bezinteresowni. Oby tak dalej Kochani Rumuni!

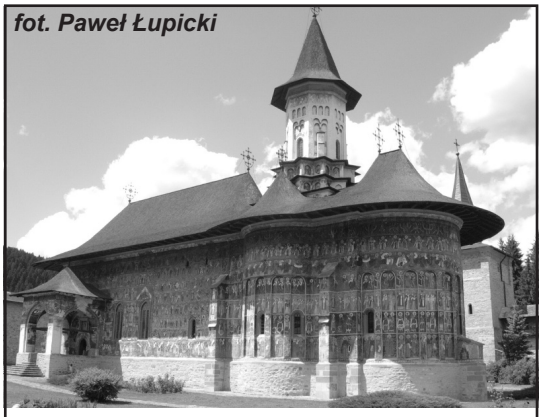
fot. Paweł Łupicki

Jeden z najpiękniejszych malowanych klasztorów - Manastirea Sucevita

W Rumunii można tanio zjeść, przespać się równie tanio, lub wręcz za darmo, na polu biwakowym. Najwięcej takich darmowych pól jest w Karpatach, na przykład w okolicy Braszowa, jednego z najpiękniejszych rumuńskich miast. To tam bije serce Rumunii, tam powstało pierwsze rumuńskie liceum i tam wydano pierwszą książkę w języku rumuńskim. W czasie krwawego powstania w 1989 roku miasto było jednym z głównych punktów oporu przeciw reżimowi Ceauşescu. W Rumunii jest co zobaczyć. Mało tego, żyją tam (w okolicach Suczawy, głównie w Nowym Sołońcu, Kaczycy i Pleszy) od mniej więcej XVIII wieku autentyczni Polacy, przesiedleńcy ze Słowacji, Bochni, Wieliczki i Czerniowiec. Przesiedlanie się nie było wówczas aż tak skomplikowane. Wszystkie te miejscowości znajdowały się wtedy w jednym państwie Austrii. My byliśmy w Kaczycy, widzieliśmy polską szkołę, kościół i rozmawialiśmy z mieszkańcami po polsku. Było to naprawdę niezwykłe przeżycie. Trudno wszystko opisać i wszystko zmieścić w jednym artykule. Spróbuję więc przedstawić krótko te miejsca najbardziej niezwykle, uwidocznione na zdjęciach, do odwiedzenia których wszystkich zachęcam.

Obowiązkowym punktem wycieczek do Rumunii są tzw. malowane klasztory w Bukowinie. Bukowina to jeden z najpiękniejszych zakątków kraju. Region wciąż rzadko odwiedzany przez turystów, mimo że bukowińskie monastyry (klasztory) już od wielu lat znajdują się na liście UNESCO. Koniecznie więc należy odwiedzić klasztory: Mănăstirea Humorolui, Mănăstirea Voroneţ, Vatra Moldovitei i Mănăstirea Suceviţa. Kompletnie na uboczu znajduje się Mănăstirea Slatina. Ten klasztor praktycznie nie jest odwiedzany przez turystów. Życie zakonne toczy się tu wolnym rytmem. Znajdziemy tu ciszę i spokój. Uczestnictwo w wieczornych nabożeństwach, wsłuchiwanie się w śpiewy zakonnic i popa, zapach kadzideł, obserwowanie zachodzącego słońca, wędrującego po cerkiewnych malowidłach i ikonostasie wszystko to jest prawdziwie mistycznym i niezapomnianym przeżyciem. Dwa równie ciekawe klasztory znajdują się w zupełnie innym regionie Wołoszczyźnie. Klasztory te to Mănăstirea Hurez i Mănăstirea Bistriţa. Mănăstirea Hurez to najcenniejszy zabytek Wołoszczyzny i także znajduje się na liście UNESCO. Jest to jeden z najwspanialszych przykładów stylu epoki Brancoveanu. Godną zobaczenia jest także wieś o nazwie Săpânţa, leżąca w pobliżu granicy z Ukrainą, z jedynym na świecie tzw. wesołym cmentarzem (Cimitirul Vesel). Nagrobki są malowane w najróżnorodniejsze barwy, sceny obrazują wykonywany zawód, hobby lub przyczynę śmierci, a teksty pod obrazkami są przeważnie dowcipne i rymowane (np.: imię i nazwisko się nazywam i w grobie tym spoczywam). W tej samej miejscowości znajduje się monastyr, na terenie którego stoi piękna drewniana cerkiew w stylu marmoroskim, bardzo popularnym w północnej Rumunii. Styl marmoroski przypomina nasze gotyckie budownictwo drewniane na Podhalu. Wieża na cerkwi ma 75 metrów wysokości. Cerkiew ta jest więc tym samym najwyższym drewnianym budynkiem sakralnym na świecie. Po zwiedzaniu możemy odpocząć w prawdziwie europejskich miejscowościach wypoczynkowych Mamaia lub Mangalia nad Morzem Czarnym. Do dyspozycji jest też słynne rumuńskie Davos, czyli Poiana Braşov, największy ośrodek narciarski kraju lub słynny kurort Băile Herculane, założony przez Rzymian w II wieku naszej ery.

Do wszystkich tych miejscowości dojedziemy asfaltowymi drogami. Tak więc nie ma się czego obawiać. To nie Afryka. Drogi rumuńskie są poza tym w całkiem niezłym stanie. Najlepsza droga w Rumunii to droga krajowa nr 1, łącząca Oradeę ze stolicą kraju Bukaresztem. Inne szlaki komunikacyjne też są niezłe; najlepsze to autostrady w okolicach Bukaresztu - najdłuższa z nich prowadzi w kierunku Morza Czarnego i sięga już prawie do Konstancy. Najgorzej wygląda sytuacja wysoko w górach: tam drogi są gorsze, czasem wręcz fatalne, na dodatek trwają liczne remonty nawierzchni, co powoduje, że jazda miejscami jest bardzo uciążliwa. Prace remontowe trwają na wielu odcinkach, roboty ciągną się kilometrami, powstaje także sporo nowych dróg. Jadąc przez ten piękny kraj, ma się w ogóle wrażenie, że to jakiś jeden wielki plac budowy. Za kilka lat będą naprawdę mieć wspaniałe szosy. Powstają także liczne nowe cerkwie, których w czasach Ceauşescu nie wolno było budować. Teraz wierni próbują nadrabiać to, co nie mogło powstać przez 50 lat. Za Ceauşescu powstawały przede wszystkim makabryczne blokowiska. Najkoszmarniejsze wrażenie sprawia niestety - Bukareszt. Miasto jest olbrzymie, fatalnie oznakowane. Wjazd do Bukaresztu można porównać z wjazdem w przepastne czeluście jakiegoś piekielnego labiryntu: brak tablic informacyjnych, często brak oświetlenia. Zupełnie nie sposób się odnaleźć. Można tak sobie kluczyć po tym stołecznym molochu godzinami i nie

znaleźć drogi wylotowej z miasta. Tak więc bez nawigacji GPS i takich tam cudów, wjazdu do tego olbrzymiego miasta stanowczo odradzam. Chyba że lubi się traumatyczne doznania.

Co do policji - jest jej tam, i w miastach i poza nimi, bardzo dużo. Autentycznie pilnują porządku. Stoją na głównych skrzyżowaniach, podobnie jak we Francji, zwłaszcza w soboty. Nie wolno więc na obszarze zabudowanym przekraczać dozwolonych prawem 50 km/h. Złamanie przepisów grozi surowymi sankcjami. Poza tym starają się wszędzie być widoczni, dbają o bezpieczeństwo, zwłaszcza zagranicznych turystów. Gdy w środku nocy zatrzymaliśmy się na chwilę na stacji benzynowej przy autostradzie, po pięciu minutach był przy nas patrol policji i uprzejmy policjant nienaganną angielszczyzną zapytał, czy nic się nie stało, czy czegoś nie potrzebujemy i czy długo zamierzamy na tym parkingu zostać. Byli nam nawet gotowi potowarzyszyć dla zapewnienia bezpieczeństwa, ale powiedziałem, że zaraz jedziemy dalej. Cóż mogę w takiej sytuacji powiedzieć? Chyba i tak Szanowny Czytelniku domyślasz się, o co mi chodzi. Ogólnie rzecz ujmując: nigdzie nie mieliśmy jakichkolwiek problemów z policją ani też policji nie musieliśmy wzywać. Było naprawdę bezpiecznie. Jeśli chodzi o jedzenie, to najczęściej zaopatrywaliśmy się w dużych sklepach samoobsługowych - tu było najtaniej, niektóre produkty kosztowały mniej niż u nas. W barach i restauracjach można było zjeść za kilkanaście złotych smaczny i pożywny posiłek. Stacji benzynowych jest całe mnóstwo, z tankowaniem nie ma więc najmniejszego problemu. Paliwo jest zresztą całkiem niezłej jakości. Jest to taki namacalny dowód, że przemysł wydobywczy i petrochemiczny mają na naprawdę wysokim poziomie. Może więc Kochany Czytelniku podążysz naszymi śladami?

Paweł Łupicki

Oferta ogłoszeniowa

Zapraszamy do zamieszczania ogłoszeń na stronach czasopisma **Izery**

Ceny ogłoszenia za stronę kolorową formatu A4 kształtują się w granicach 100-120 zł, za taką samą wielkość w odcieniu szarości - 80 zł. Istnieje oczywiście możliwość zamówienia 1/2, 1/4, czy 1/8 strony.

W sprawach dotyczących ogłoszeń prosimy dzwonić pod nr **0691820861** lub **0757834001**.
Szczegółowe informacje, pomoc i poradę techniczną dotyczącą tych spraw można uzyskać u Feliksa Chojnackiego w firmie
„Fenix" przy ul. Kpt. St. Betleja 18 w Mirsku.

Redaktor naczelny
Bogusław Nowicki

Zespół redakcyjny i współpracownicy
Bartosz Baszak, Feliks Chojnacki, Piotr Czembrowski, Grażyna Drożdżowska, Karolina Dulat, ks. Mariusz Godek, Edyta Hryciew, Jacek Krasnopolski, Bartosz Kuświk, Paweł Łupicki, Beata Nowicka, Jolanta Szepańczyk, Paweł Tomczuk, Stanisław Wojciechowski, Andrzej Woźniak

Skład i łamanie
Kuba Krasicki

Kontakt
tel. 0 882 672 386
e-mail: redakcja.izery@gmail.com

teczki do przekazania artykułów lub uwag pisemnych dostępne w punktach sprzedaży

Adres redakcji
59-630 Mirsk
ul. Zdrojowa 21/1

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń, zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji materiałów oraz zmiany tytułów.

KRZYŻÓWKA ŚWIĄTECZNA

Do diagramu należy wpisać wykreskowane słowa z polskich kolęd. Rozwiązaniem krzyżówki jest trzynastoliterowe hasło, które należy odczytać w zaznaczonej kolumnie.

1. „ ___ malusieńki, leży nagusieńki…"
2. „Lulajże, Jezuniu, moja ____"
3. „Gdy się ___ rodzi i na świat przychodzi…"
4. „ ____ śpiewają, bydlęta klękają…"
5. „Mizerna, cicha ____ licha…"
6, „Gdy śliczna ____ Syna kołysała…"
7. „ogień krzepnie, ____ ciemnieje…"
8. „_____ pasterzom mówił…"
9. „…Choć w stajeneczce Panna Syna ____..."
10. „Pójdźmy _____ do stajenki…"
11. „ Bracia, patrzcie jeno, jak ____ goreje…"
12. „W żłobie ___ , któż pobieży kolędować…"
13. „ … _____ , pasterze, Bóg się wam rodzi…"

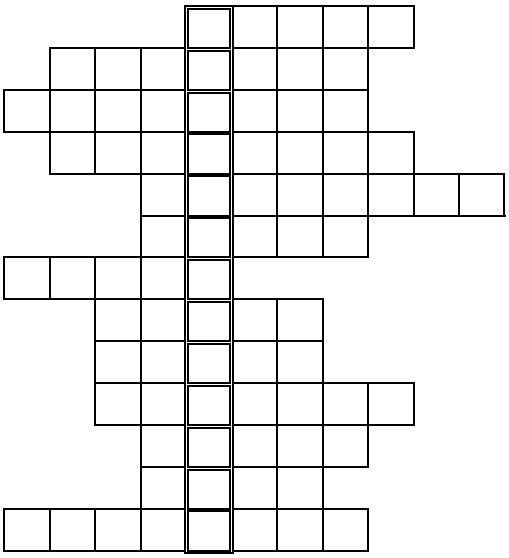

Grażyna Drożdżowska

Kartka z historii Kwieciszowic (Blumendorf)

Jazda na sankach nauczyciela Jastera

Zima 1933 (na zdjęciu miejsce obecnej świetlicy)

Nauczyciel Jaster sprowadził się tutaj w 1923 z płaskiego regionu z okolic Poznania i nie bardzo znał góry. Pierwszej zimy odwiedził jednego ze swoich uczniów, który mieszkał na Bożej Górze. Wtedy Boża Góra była wsią należącą do gminy Kwieciszowice.

Kiedy musiał wrócić do Kwieciszowic, uczeń zapytał, czy nauczyciel nie zechciałby zjechać na dół sankami - wtedy sanki były normalnym sposobem przemieszczania się. Pan Jaster, który kulał i schodzenie w dół byłoby dla niego uciążliwe, odpowiedział, że chętnie. Wtedy chłopak spytał, czy nauczyciel umie korzystać z sanek? Jaster odpowiedział, że niestety nie umie i chłopiec musi mu pomóc. Nauczyciel musiał więc usiąść z przodu, a uczeń z tyłu, bo kierujący sankami zawsze siedzi z tyłu. To musiało wyglądać dosyć śmiesznie: z przodu wielki nauczyciel, a za nim mały chłopak.

Jazda na dół na początku poszła dobrze, ale sanki nabierały coraz większej prędkości i niestety chłopak w pewnym momencie stracił panowanie nad pojazdem… Na ostatnim zakręcie wywrócili się i … tylko nogi sterczały im z dużej zaspy. Pan Lorenz i jego robotnik widzieli co się stało i przyszli z pomocą. Lorenz, bardzo spokojny człowiek, wyciągnął nauczyciela Jastera z zaspy i powiedział lakonicznie: „ No sąsiad! widzę, że to chyba pierwsza jazda sankami, co?” A na to nauczyciel Jaster - również lakonicznie - odpowiedział: „Nie, to moja ostatnia!”.

Ale następnego dnia nauczyciel Jaster poszedł do rzemieślnika Rehnerta i zamówił swoje własne sanki.

Erik Weijs

Kabelek Izerski

Miś

Leżący samotnie w fontannie miś przestał już marznąć. Kabelek Izerski ułożył go do snu zimowego. Nakrył go ciepłą kołderką, nałożył czapeczkę i postawił choinkę. Nasz milusiński usypiał wsłuchany w dźwięki kurantów płynących z wieży mirskiego ratusza, będąc pełen nadziei na lepszy dla niego nowy 2009 rok. Może ktoś z władz przemówi do niego ludzkim głosem?

Dziurawy konkurs

Kabelek ogłasza nowy konkurs:„ Zgadnij gdzie znajduje się to miejsce, w którym powinna być droga, dokąd wiedzie, ile dziur liczy i do kogo należy?” Dla pierwszych 3 osób, które odgadną naszą zagadkę przewidziana jest nagroda. Będzie to pełen emocji przejazd uwidocznionym na zdjęciu samochodem terenowym.

Znikający mostek

Jeden mostek łączący Mroczkowice z Wolimierzem już zniknął. Od jakiegoś czasu zaczął znikać kolejny! Ten drugi to most kolejowy na Czarnym Potoku, z którego na dzień dzisiejszy powycinano żebra wewnętrzne, a zewnętrzne podcięto i tym sposobem przygotowano do zawalenia. Ktoś chce zrobić jakiś brudny interes. Ślady wskazują na sąsiadów z Wolimierza. Zostało rozpoczęte dochodzenie policji w tej sprawie. Być może ktoś widział, bądź wie gdzie się podziały odcięte elementy mostku. Prosimy o informacje na ten temat.

Na gondoli, na gondoli…

Jak wieść gmina, a może izerska, niesie 12.12.2008 roku (w imieniny grudnia), rozpoczęto intensywną promocję wyciągu gondolowego wśród dziennikarzy mediów ogólnopolskich. Po pierwszych przymiarkach, jak głosi plotka, zjechano z ceną za karnet jednodniowy z 95 zł do 85 zł. Był to chyba najbardziej udany zjazd na początku tego sezonu narciarskiego.

WOŚP

W tym samym dniu zebrał się w mirskim Zespole Szkół Licealno-Gimnazjalnym sztab WIELKIEJ ORKIESTRY ŚWIĄTECZNEJ POMOCY, która 11.01.2009 r. zagra po raz XVII . Zebrane w tym dniu pieniądze zostaną przeznaczone na wczesne wykrywanie nowotworów u dzieci. Otwórzmy w tym dniu serca równie szeroko jak portfele.

Sztab WOŚP w Mirsku zwraca się do mieszkańców z prośbą o przekazywanie fantów na loterię fantową. Zbiórkę prowadzą: biblioteka publiczna w Mirsku oraz biblioteka zespołu szkół licealno-gimnazjalnych w Mirsku.

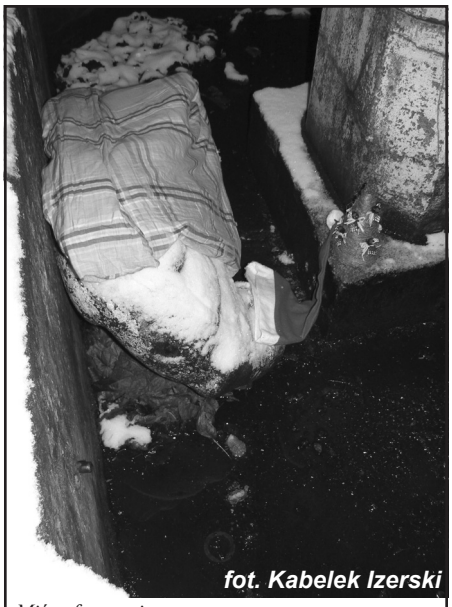

Miś w fontannie

Droga w dziurach

Podcięty mostek

Kabelek Izerski

Z OKAZJI

ŚWIĄT
BOŻEGO NARODZENIA

ORAZ

NOWEGO ROKU 2009

WSZYSTKIM NASZYM KLIENTOM

SKŁADAMY
NAJSERDECZNIEJSZE
ŻYCZENIA:

ZDROWIA, SZCZĘŚCIA I
WSZELKIEJ POMYŚLNOŚCI

Alina i Stanisław
Wojciechowscy
wraz z Personelem

ZDROWYCH
SPOKOJNYCH
I RADOSNYCH
ŚWIAT BOŻEGO NARODZENIA

ORAZ

WSZELKIEJ POMYŚLNOSCI
W NOWYM 2009 ROKU
SZANOWNYM KLIENTOM

fraszka
TWÓJ sklep

ŻYCZĄ

Maria i Wojciech Klimkowscy
wraz z
Personelem sklepów „FRASZKA”

Świąt białych, pachnących choinką,
spędzonych w ciepłej rodzinnej atmosferze.
Świąt dających radość,odpoczynek
oraz nadzieję na Nowy Rok,
żeby był jeszcze lepszy niż ten
co właśnie mija

życzą

Redakcja
oraz Stowarzyszenie “Zakwisie”